

Groza! Groza!

AUTOR: SZYMON KAZIMIERCZAK

Paweł Demirski i Monika Strzępka wzięli z prozy Conrada temat kolonialnego wyzysku, ale także fatalistyczne myślenie o egzystencji człowieka.

TEATR IM. STEFANA
ZEROMSKIEGO
W KIELCACH

Ciemności
Pawła Demirskiego
inspirowane
Jądrem ciemności
Josepha Conrada

reżyseria
Monika Strzępka
scenografia, kostiumy
Arek Ślesięński
światło, projekcje
Jakub Lech
muzyka
Tomasz Sierajewski
ruch sceniczny
Jarosław Staniek,
Katarzyna Zielonka

premiera
13 stycznia 2018

Od lewej:
Jacek Mąka [Kurtz 2],
Andrzej Konopka
[Kurtz 1],
Anna Klos-Kleszczewska [Na Stacjach/
Ciotka]



foto: Bartek Sadowski

W niezwykle sugestywnych wizualnie *Ciemnościach* cały sceniczny świat spowija czern, która po wyjściu z teatru zostaje nam pod powiekami. Twórcy nie pozostawiają złudzeń: ludzkość zasługuje na katastrofę. Na przykład na taką, jaką wymyślił nam Lars von Trier w swojej *Melancholii*, którą Strzępka zdaje się cytować w *Ciemnościach*. W jej spektaklu jest wiele wbijających w fotel, mrocznych projekcji, ale w pamięć szczególnie mocno zapada gigantyczna planetoida zbliżająca się w kie-

runku sceny. Jeden z dwóch Marlowów rozpaczliwie usiłuje przywołać ją ku Ziemi, dając świetne sygnały za pomocą jarzeniówek. Do katastrofy jednak nie dochodzi. Może jeszcze nie teraz, kto wie, może istnieje dla ludzkości inny plan, ale ten niemal apokaliptyczny obraz jest w przedstawieniu Strzępki i Demirskiego tyleż zaskakujący, co symptomatyczny.

Bo duet artystów, deklarujący do niedawna przekonanie o sprawczej mocy teatru, chyba już całkiem przestał wierzyć w istnienie spr-

wiedliwości społecznej. Mechanizm wyzysku, który krytykują w swoich spektaklach od dawna, i w najnowszych *Ciemnościach* pozostaje centralnym tematem. Tym razem jednak jawi się on jako podwalina współczesnej cywilizacji, której w żaden sposób nie da się przezwalczyć. Bohaterowie Demirskiego trzymają się bezwolnie swoich szczebelków społecznej drabiny, jakby nie zauważając własnego egzystencjalnego wyjałowienia. Atmosferę ich nihilistycznego stanu ducha oddaje mistrzowska

scenografia zaprojektowana przez Jakuba Lecha. W czystej, czarnej przestrzeni znajduje się zaledwie kilka obiektów: fotel dentystyczny, który stanie się łodzią, przewrócony orkiestrowy bęben i rozmaicie ogrywane przez aktorów jarzeniówki, sprawiające wrażenie, jakby były na tej ziemi jałowej ostatnim źródłem światła. Zasadniczą rolę pełnią jednak porywające wizualizacje, które przedstawiają to ugwieżdżone nocne niebo, to potworne ludzkie czaszki, atakujące nas z hukiem, niemal jak na blackmetalowym koncercie.

Ciemności otwiera monolog wyłaniającej się zza mgły, jakby przybyłej z zaświatów, Ciotki Marlowa (Anna Klos-Kleszczewska), w którym obraz wstającego w porcie żeglarza zestawiony jest z porankiem współczesnego pracownika korporacji. Rejs rzeką Kongo, główny wątek minipowieści Conrada, przepoczwarza się tu w powszednią odyseję mieszkańca wielkiego miasta, przedstawiciela klasy średniej. Od razu jesteśmy wprowadzeni w podwójny nurt tej opowieści, w której doświadczenie jądra ludzkiej ciemności jest dla tego bohatera czymś najwykleszonym, wydarzającym się między porannym rykiem budzika a przygotowaniem do kolejnego dnia. „A jutro do roboty / do roboty”. „Wstać rano / zrobić kawę / masło zno-

niemal od początku spektaklu, co odziera jego postać z tajemnicy, która zarówno w *Jądrze ciemności*, jak i w *Czasie apokalipsy* Francisa Forda Coppoli była kluczowym zabiegiem narracyjnym. Skoro ich twarze są nam od początku znane, podróż łodzią jest w *Ciemnościach* jakby elementem klasowej retoryki: płyniemy z Marlowem dziewiętnastowiecznym (Tomasz Schimscheiner) i Marlowem ubranym zgodnie z korporacyjnym dress code'em (Joanna Kasperek), by dostrzec kulturowe mechanizmy wyzysku. Wnioski z tej podróży są istotnie przerażające, bo okazuje się, że mimo zupełnie różnej sytuacji geopolitycznej i społecznej owa ciemność w człowieku, która w zeszłych wiekach popychała go do bestialskiego okupowania obcych państw, jest żywa i w roku 2018.

Na dole tej społecznej drabiny znajduje się Ta Obca, która jest inkarnacją wszystkich „skrzywdzonych i poniżonych”: zarówno Conradowski Murzyn z Konga, jak i uchodźcy, czy w końcu także współczesnego przedstawiciela prekariatu. Marta Grąziowska w swojej brawurowej roli tworzy przegląd wielu postaci, ale wszystkie je spina „dzika” motoryką swojego ciała. Przez cały spektakl pogardzana i bezceremonialnie określana mianem „czarnucha”, w pewnym momencie podźwignie się, by wy-

Demirski i Strzępka pokazują piekło relacji społecznych opartych wyłącznie na hierarchiach władzy, w których przestała liczyć się równość, a znaczenie zdaje się mieć wyłącznie zysk.

wu twarde / dziecko do szkoły” – kończą twórcy swój spektakl, spinając go depresyjną, in-trowertyczną klamrą.

Ciemności nie są, jak widać, adaptacją prozy Conrada. W warstwie dramaturgicznej to raczej luźna wariacja wokół postaci Kurtza i Marlowa, których Strzępka i Demirski rozbijają na dziewiętnastowieczne i współczesne warianty. Kurtz grany przez Jacka Mąkę – w czarnym szlafroku, poruszający się o lasce, z wystającymi z nosa rurkami intubacyjnymi – jest chyba, jak chciał Conrad, u kresu życia. W pełni zdrowia i władz umysłowych jest za to Kurtz Andrzeja Konopki, który w czarnym golfie, jeansach i białych adidasach do złudzenia przypomina Steve'a Jobsa. Dwugłowy Kurtz – handlarz kością słoniową i twórca największej korporacji na świecie – obecny jest na scenie

krzyczeń płomiennym oskarżeniem ze znamieną frazą „przyjdziemy po was”. Ale nawet ten gniewny monolog tak naprawdę wydaje się być wołaniem na puszczy. W tej rozgrywce od wieków karty rozdają bowiem Kurtzowie.

Fiksacja twórców na przedstawianiu relacji międzyludzkich niemal wyłącznie w klasowym kluczu może budzić zastrzeżenie. Łatwo byłoby tu też postawić zarzut powierzchownej lektury *Jądra ciemności*, sprowadzonej do krytyki Kurtza jako *homo oeconomicus*. Ale Strzępka i Demirski tworzą historię na własnych zasadach i jednak robi wrażenie, że duet niezwykle skutecznie potrafi zaprząć środki teatralne, by dowodzić swoich racji. Nie stawiają oni zresztą znaku równości między kolonialnym niewolnictwem, sugestywnie opisanym ponad sto lat temu przez Conrada, a korporacyjnym

wyzyskiem. Robią raczej coś innego: pokazują piekło relacji społecznych opartych wyłącznie na hierarchiach władzy, w których przestała liczyć się równość, a znaczenie zdaje się mieć wyłącznie zysk. Piekło to jest przesycone grozą – tak w planie wizualnym, jak i w planie układu sił między bohaterami, którzy bez wyjątku sobą gardzą. Dlatego w spektaklu nie musi paść już najsłynniejsza kwestia z *Jądra ciemności*, którą w powszechnej świadomości utrwalił Marlon Brando.

Ciemności nie są może przełomowym spektaklem w karierze Strzępki i Demirskiego: to kolejna słowna partytura, w której twórcy rozmawiają jakby sami ze sobą, rozbijając się na sześć postaci, niemal każdą kwestię poddając próbie piętrowej ironii. Choć przecież zupełnie odwrotnie było w niedawnym *Triumfie woli*, gdzie usiłowali zbudować z widownią przymierze wokół pozytywnych historii, czy w finale serialu *Artyści*, który zakończyli zaskakującą sceną zjednoczenia środowiska teatralnego i kibicowskiego.

W *Ciemnościach* żadna wspólnota nie jest w stanie się zawiązać i dlatego spontaniczny zryw w obronie ważnych wartości, jak ten z *Artystów*, nie jest tu możliwy. Twórcy tego spektaklu z jednej strony punktują biernego samozadowolenie lewicy: „Refugees welcome / Napisałam na fejsbuku / Chociaż w innym miejscu / Krytykowałam islamski patriariat” – mówi w pewnym momencie Ciotka. Ale też chyba nie są pewni, czy teatr może jeszcze być miejscem dla politycznego i społecznego wstrząsu. W jednej z finałowych scen kwestie aktorów przerywa sitcomowy śmiech z offu – każdy z osobna jest jak policzek wymierzony widowni. Wyraźny ton bezradności, który nietrudno dostrzec w tym spektaklu, zdaje się umacniać sam dramatopisarz, który w rozmowie opublikowanej w programie powiedział: „Jedyne, co możemy robić, to o tym mówić, bo w skali globalnej nie jesteśmy w stanie nic zrobić”.

Zastanawia wobec tego milczący odbiór spektaklu w warszawskiej IMCE. Może intuicja Strzępki i Demirskiego o wyczerpaniu języka (ich) teatru jest trafna. Ale może też stołecznej widowni, która jest chyba lepszym adresatem *Ciemności* niż kielecka, zwyczajnie nie było do śmiechu, kiedy słuchała na przykład pełnej jadu kwestii współczesnego Kurtza: „Nienawidzę [...] tego, jak się ubierają / stroją przed spotkaniem ze mną / a i tak widzę ich w gaciach / jak się trzęsą”. Zwłaszcza w niedzielę wieczorem. ■